

Grecja 2009 z YKP Kraków

Od dwóch lat wybierałem się do Grecji – nawet wpłaciłem zaliczkę na łódkę, ale niestety nie mogłem skompletować załogi z sądeckich żeglarzy. Udało mi się dopiero w tamtym roku – wstępną ekipę ustaliliśmy na obozie PWSZ w Załężu-Znamirowicach. Większość uczestników to pracownicy AWF Kraków (Bartolo, Maro, Leszek, Leon i „współdziałający” z nimi Jurek B.)

Województwo świętokrzyskie reprezentowali Sosenska i Miglanc zwany również Młodym.

W ostatniej chwili (i jego szczęście) dołączył do nas, znany sądeckiej braci żeglarskiej Jurek O.

Cała wyprawa zaczęła się 10.09.09 w Krakowie. Krakowiaczy i Scyzoryki (oraz żarcie) załadowali się do wcześniej podstawionego busa, zajechali do Sącza po Jurka O. oraz mnie. Po przekroczeniu granicy w Mniszku, dalej Preszów, Koszyce, wjeżdżamy na Węgry, mijamy Miskolc, Budapeszt, Szeged i próbujemy przekroczyć granicę węgiersko-serbską. Serbia nie jest w UE więc jest normalna kontrola graniczna – okazuje się, że Jurek B. „zabył” paszportu.

Troszeczkę skonsternowani zawracamy, ale szybka narada i zakup potrzebnej nawigacji (Rumunia i Bułgaria) pozwala zobaczyć tę leżącą troszkę na uboczu naszej trasy, Krainy. Jedziemy najpierw przez Transylwanię (poniektórzy widzieli w nocy różne dziwy), ale niestety ze średnią prędkością ok. 30 km/h (remonty dróg) i po ok.10 h jazdy zajeżdżamy nad granicę Ru-Blg (czytaj Dunaj), i tu za drobne 70 eur przewożą nas promem na drugi brzeg.



Drogi w Blg na szczęście o niebo lepsze niż w sąsiadującej Ru. Szybko zbliżamy się do stolicy – Sofii. Niestety, mała pomyłka na dojeździe i zamiast ominąć centrum wpakowujemy się w nie. A tam zero oznakowań dokąd się kierować (nawigację mieliśmy papierową). Po 2-ch godzinach błędzenia, pomocy połowy okolicznych mieszkańców, policji udaje nam się wreszcie wydostać z niezwykle „gościnniej Sofii”. Rażno podążamy więc na południe, w stronę wymarzonej Grecji.

Po przekroczeniu granicy Hellady, stwierdzamy, że ilość przygód nas trochę wymęczyła, grupa kierująco-pilotująca zarządza spanko w moteliku przy drodze (po 20eu).

Po odespanku, kompiułce stwierdzamy, że zostało nam jakieś marne 200 km do Aten, ale po 10-tej szef bajzlu każe nam spadać, bo muszą po nas sprzątnąć. Ruszamy więc w dalszą drogę. Po kilkudziesięciu km kontaktujemy się z drugim busem (którym jedzie zaprzyjaźniona ekipa- tzw. GRONOSTAJE) i umawiamy się na gas station przed nami. Spotykamy się tam niebawem – już po 12-tej, więc można. Zamawiamy coś na ząb, okazuje się, że jeden z załogi z przeciwnej strony stolika ma dzisiaj urodziny – wyciągamy gitary, Grecy są trochę zszokowani, ryczymy na całe gardło „sto lat” ,później jakąś szantę.

Ale trzeba w drogę – łódki czekają! Zajeżdżamy wkrótce do Aten- Alimos marina Kalamaki. Szukamy łódek – swoją znajdujemy dość szybko – stan hmm.. taki sobie (z wyglądu).Kontaktujemy się z armatorem Georgisem zwanym przez nas z greka Galimatiasem. Jedynym jego plusem, jest to, że trochę mówi „po polski”, ale jak na razie nas unika. Jego pomagierzy walczą z łódką – tzn. przeważnie stoją i gadają i drapią się po -głowach. Galimatias za wszelką cenę chce nas wepchnąć na łódkę – bez sprawdzania z naszej strony, dawać kaucję i wy pływać ! Nie dajemy się tak łatwo, bój jest ostry, potomkowie Achajów co chwila nam donoszą jakieś rzeczy, coś próbują naprawić. W końcu za swoje sprawy bierzemy się sami, patrząc na indolencję czarterodawców – i jest to słuszna decyzja, bo inaczej wypłynęlibyśmy za tydzień. Parę pyskówek z Galimatiasem, i nawet oddaje nam 200 eur z czarteru za jacht, wpłacamy dużo niższą kaucję, nie zgadzamy się na opłatę za sprzątnięcie i łódka jest nasza.



4-ro osobowy ponton (wg Galimatiasa)



Odbiór jachtu – *St. Valentino*

Na drugi dzień, po walce z łódką i Grekami (już wiem, czemu mówi się, że Żyda to wyjebie tylko Grek) wypływamy koło południa.



Migłanc



Wyjście z Kalamaki

Ruszyliśmy żwawo przez Zat.Sarońską (na silniku) goniąc Twins – łódkę GRONOSTAJÓW. Pierwsze „koty za płoty”- stawianie żagli, nawigowanie, rozglądanie się po okolicy, nauka..



sterowania

Po nawiązaniu łączności z G. (telefonicznej) okazało się, że raczej ich nie dogonimy, więc podejmuję decyzję o stanięciu na noc na kotwicy w zatoczce Fokaia (stały ląd).



W związku z tym, że jesteśmy jeszcze pełni zapasów z Pl, nie udajemy się na ląd, zresztą niezbyt chyba ciekawy.

Z rąńca kotwica góra, zapychamy na Kithinios, a konkretnie do Merichas, gdzie umawiamy się z **G**. w drodze łapie nas jedyny deszcz w całym rejsie – niezła ulewa, ale tylko z 30 min. Wcześniej uczymy się refować grota, omijamy statki i wysepki, nakręcamy pierwsze nM w szczerym morzu.

Pod wieczór docieramy do punktu zbornego – Merichas, niedługo potem załoga **G**. Po rozglądnięciu się w miasteczku, kąpieli (nie wszyscy) w hoteliku, zasiadamy w tawernie – 18 chłopa. Autogrek zapodaje nam różne tutejsze smakołyki – przede wszystkim *frutti di Mare* z winem, serami, sałatkami. W międzyczasie rozwija się zespół szantowy i zaczynamy..... Tubylcy podejrzewają nas, że jesteśmy GST (Guys sailing team). Skończyło się to tak, że po paru godzinach „Grekotavernas” postawił nam po flaszczyce (0,25) ouzo – chyba, żebyśmy już poszli. No więc przenieśliśmy się 25m dalej – na łódki. Rano, skoro świt ok. 1000 wypływamy (ok.1200m) do następnej atrakcji – grobli z piasku łączącej „stałą” wyspę z mniejszą. Kąpiele, zdjęcia, oczekiwanie na otwarcie tawerny – super miejsce !!



Merichas



Polaków rozmowy poranne



Na kacowisku



Druga strona grobli(ładniejsza cz. Zatoki ☺))))))

Postaliśmy trochę, poczekaliśmy bezskutecznie na tavernopivovasa i odjechaliśmy (na

swoim)



Niestety , rozstajemy się z załogą **G** ,oni wracają do rzeczywistości, my naprzód !!! na Milos !!!

Po długim i radosnym żeglowaniu wreszcie trafiliśmy do.- Adhamas

Postój dał nam w kość – nie dało się spać, Greci szaleli do 5-tej rano samochodami i skuterami tuż przy naszej rufie.

Rano ruszamy zobaczyć naturalną część wyspy – skały i groty Klefiko. Jedziemy wzdłuż brzegu – słonko i flauta, pozwalają nam płynąc na „wyciągnięcie ręki” od brzegu. Jest super !!



Adhamas – stolica Milos



W drodze do Klefiko



Klefiko – stoimy na kotwicy w zatoczce, pływamy pontonem po pieczarach, kąpielki, obiadek – i postanawiamy płynąc na Kretę !!! Nocą. A tu sporo skałek zupełnie nie oświetlonych... Po 20-tu godzinach telepania się(raczej flauta) na żaglach i silniku, dotarliśmy (z kąpielą w szczerym morzu) do Hani

(nie cioci) na
Krecie.



Upał masakryczny – chyba z 35 * C- ledwo dyszymy, no ale jesteśmy na Krecie (nasz Galimatias „zwariował” jak się dowiedział gdzie dołynęliśmy,), chodzimy trochę po Hani, gorąco ...uf, w związku z tym wykupujemy chyba całe piwo w pobliskim sklepiku, wieczorem mała imprezka, spacerki po okolicy.

Na drugi dzień, po śniadaniu odpalamy motorek i w drogę w kierunku Santorini. W radiu zapowiadają meltemi 6-7B , więc żwawo posuwamy się w kierunku naszego celu. Aż za żwawo, bo doływamy do wyspy ok. 0400 , a że wejście jest niepewne (w locji piszą o mieliźnie na wejściu 1,6m – a my mamy 2,0) czekamy halsując do świtu. Wreszcie wchodzimy, nie jest tak źle , stoi kopara na barce (ale przez cały nasz pobyt nic nie robiła), próbujemy dojść do jednego nabrzeża – stajemy 1m przed, no to dalej, próbujemy wcisnąć się pomiędzy łódki rufą, łapiemy mooring śrubą, zawisamy na sąsiednim jachcie (na szczęście pustym). Sprawne nurkowanie w wykonaniu Jurka B. ratuje nam dupę (a raczej mnie), stajemy wreszcie jak Neptun przykazał. Z sąsiednich łódek obserwowali nasze manewry ze zgrozą i uciechą – w końcu żeśmy ich zerwali z koi o 0800. Z jednym Angolem to my się jeszcze spotkamy.



Po męczącej nocy i jeszcze bardziej manewrach – Vlikadha na Santorini.

Po śniadaniu zabieramy się do życia – postanawiamy wypożyczyć samochód i zwiedzić sławną wyspę. Idziemy do pobliskiego sklepu i tamtejszy szef zamieszania dzwoni do jakiegoś swojego Autokumplosa, który dostarcza nam wybrane auto na keję. Samo przekazanie samochodu jest dość niespotykane jak na europejskie warunki – po spisaniu danych z prawka i karty kredytowej (krzywił się na moją, ale w końcu ok.) zapłaceniu 45 eu za cały dzień z ubezpieczeniem i paliwem, gościu na moje pytanie gdzie zostawić car, odpowiada, że na kei. No, a kluczyki – pod przednim siedzeniem. Hmm... ale to przecież wyspa, chyba nikt nim nie odjedzie (nb. auto stało 2 dni zanim ktoś się po nie zjawiał).

Pierwsza tura ładuje się i w drogę. Objeżdżamy sporą część wyspy w jakieś 3 godziny.



Od lewej Leoncio, Miglanc, Papa Smerf i Kierowca no i oczywiście nasza fura. W drodze do Portu na dnie kaldery.



Kaldera widziana z drogi do Portu, to białe na lewym krańcu wyspy to chyba śnieg ;-)))

Po południu druga część załogi objeżdża wyspę. Wieczorem małe spotkanie z szantami. Nazajutrz mamy szczerą chęć wychodzić, ale przybyła łódka ostrzega nas o stanie wiatru (dobre 7), a ponieważ mamy w umowie, że tylko do 6, więc odpuszczamy, wypożyczamy quada (25 eu), plażujemy ogólny luzik. Wieczorem spotkanie z tymi, co nas straszili – Polacy na Solinie 28, 5-ciu gości rozmiarowo takich jak my- jak oni się tam pomieścili? Chyba są bardzo szczęśliwi, że mogą usiąść na łódce i flaszka nie spada ze stołu ;-)). Nazajutrz rankiem 0730 startujemy. Wyptywamy z wyspy, dalej dmucha dobra szóstka, falka, mamy zamiar przepłynąć przez kalderę, ale wieje prosto w mordę (10 nM pod wiatr), więc odpuszczamy i kierujemy się w stronę Kimolos i portu na niej – Pshati. Po 10 h dochodzimy, wchodzimy, stajemy tam gdzie nam pokazują, ale niestety nie da się tam stać – dopychający wiatr rypie łódką o betonowe nabrzeże, zwijamy się i pędzimy znowu do Adhamas na pobliskiej Milos. Zrobiło się późno, niedługo noc, a tu dość niebezpieczne przejście między wysepkami i rafami. Przy Kimolos fali nie było wcale, wychodzimy za wyspę, a tu fala na 2,5 m, stroma jak diabli, w koło niesamowicie postrzępione skały, morze huczy na nich, zrobiło się całkiem ciemno, światełek tam gdzie mamy wchodzić wcale nie ma..... no, ale

udało się wcelować w wejście do zatoki (nb również kaldery) i po 4 nM podpływamy na redę Adhamas. Jakby mało było przygód, pieprzy się nam roler foka – po 30 minutach walki udaje się nam go zwinąć (a już myślałem, że będzie źle), no i zacumować w tym samym miejscu, co poprzednio. Zmęczeni, ale szczęśliwi udajemy się na zastużony odpoczynek. Rano naprawy – roler foka, wyłamana stójka relingu, urwany blok do szotów grota. Wszystko udaje się poreperować, startujemy po śniadaniu na pobliską Serifos (35 nM); idealnie w mordę, ale słabiej niż wczoraj (5-4), więc rozleniwieni, katujemy silnik. Po 8 h dojeżdżamy do Livadhi – mały porcik zapchany niemiłosiernie, musimy na kotwicy. Wybieramy miejsce, rzucamy żelazo – nie trzyma. Następny raz i następny wreszcie chwyciła. Zauważamy „naszego” Angola z Santorini – również stoi na kotwicy poniżej nas. Zadowoleni siadamy do obiadku, nagle słyszemy wrzaski – wystawiam głowę – znowu jedziemy i to prosto na naszego kolegę ! Bidok stoi ze swoją Starą na dziobie z pęczkiem obiboków i chyba klnie na naszą nację. Spokojnie odpalamy maszynę i zaczynamy manewry kotwiczne. Po którymś nieudanym razie rzucamy 2-gą blachę – dantwortha (1-sza to brus) i wreszcie stajemy. Miglanc z Dzióbkiem żądni przygód lądowych odpalają pontorówkę udając się na brzeg w celu jak to określili „poszukania miejsca przy kei”. Wracają bez miejsca, ale za to z metaxą i soczkiem. Ustawiamy alarm kotwiczny na gepesie (wreszcie się nauczyłem), ale i wachtę też, opowieści itd.;itd. Skoro świt 0700 wyciągamy z wody co nam tam siedziało, refujemy grota i do Aeginy !!



Urocze Livadhi

Tniemy bejdewindem, ale dobrym kursem z 7 kn, więc wkrótce wpływamy na Zat. Saronńską. Wiatr siada, ale za to przybywa statków, musimy trochę z nimi powalczyć wykonując zwroty przed ich dziobami (w ogóle nie skręcały, ani nie zwalniały na nasz widok) udało się wjechać na spokojniejszy akwen. Płyniemy na wyspę przy samych Atenach – Aeginę do portu o tej samej nazwie. Po drodze próbujemy się wcisnąć do małego porciku przed Aeginą, bo widzimy, że wszyscy wracają (tzn. nie ma pewnikiem miejsc), ale niestety tu również full. Płyniemy więc do pierwotnego celu, ale rzeczywiście port zaprany jak pekaes w dzień targowy, musimy znów na kotwicy ☹, a tu wieczór kapitański... Stajemy więc na dwóch kotwicach (na wszelki wypadek), Miglanc na brzeg po zapasy, kolacyjka, pogaduszki (2-ch niestety nie

spożywa, ze wzgl. na kotwicowisko i wątrobę ;-) – no i ranek , więc do



Aten.

Aegina

Mamy do przebycia 20 nM, wiatorku nie ma, więc pyr,pyr na silniczkach zbliżamy się do Kalamaki, Jurek B. dzwoni do Galimatiasa, czy jest jego paszport – jest na szczęście, ale Galimatias mówi, żebyśmy stanęli na kotwicy przed portem, bo nie ma miejsca w marinie !? Taki wał będziemy się bujać na kotwicy, wchodzimy i znajdujemy jakieś miejsce przy innym pirsie, oczywiście zaraz przylatują, żeby wyp.....ac, ale my tylko łan ałter, więc okej możemy. Tankujemy trochę paliwką (uwaga na ceny !!! – cysterny mają je dość różnicowane), trochę sprzętamy, ładujemy trochę gratów do auta i decydujemy się jeżeli to będzie możliwe wracać dzisiaj (jest pt; mieliśmy wyjechać w sobotę). Na tel. od Galimatiasa przedstawiamy się do innego pirsu – znowu nas wyrzucają, ładujemy naszego łaskawcę ze sobą na łódkę- niech on się wykłóca, ale i tak jeszcze 2 razy musimy się przedstawiać. Wreszcie stajemy pomiędzy dwoma katami – miejsca było tyle, że zmieściła by się tylko Omega, ale jakoś żeśmy się wcisnęli. Zdajemy łódkę, Galimatias bardzo grzeczny, wychwala nas (pełen szczęścia, że nam się udało dopłynąć), pakujemy się do busa i w drogę do naszych kochanych kłopotów! Podróż mija bez przygód, po 24 h jesteśmy w Krakowie, żegnamy się, potem razem z Jurkiem O. docieramy wieczorkiem do naszych Żon. Reasumując, w ciągu 13 dni przebyliśmy 501 nM w ciągu 124 h, staliśmy 182 h w 12 miejscach, z tego 7

razy na kotwicy, bez prysznic z prawdziwego zdarzenia przeżyliśmy cały rejs,
przejechaliśmy 4100 km po drogach i bezdrożach – było b. fajnie !!!